Świat powieściowy.

Nr. 119 **Tygodnik belletrystyczny.** Rok III.

Złamany a nieugięty.

POWIEŚĆ

przez Marję Grochowalską

(Ciąg dalszy)

Na drugi dzień odchodził Arnold na zawsze z miejsca, które było kolebką jego i grobem matki. Długo też leżał we łzach na jej mogile, którą poczciwy pleban skromnym krzyżykiem oznaczył, zabrał odrobinę ziemi z jej i zacnego opiekuna grobu, zabrał tłumoczek nie wielki, w którym się mieściła cała jego garderoba, pożegnał starą Dorotę, która mu oddała kilkanaście reńskich, zapewniając, że to nieboszczyk ksiądz kazał jej chować dla niego. Było to poczciwe kłamstwo, które zapewne znalazło przebaczenie w niebie, gdyż były to jej własne, przez lat kilka uskładane pieniądze.

— Idziesz już paniczu kochany! — mówiła płacząc. — Niech że cię Bóg prowadzi i błogosławi, niech ci daje zdrowie i szczęście! Weź tych kilkanaście reńskich. Nasz święty stary jegomość dla ciebie to zostawił. Mnie nic już nie potrzeba... ot! może jeszcze z jaki miesiąc pożyję, to mam o czem, i na pogrzeb stanie, bom z ojcowizny swojej nic nie wzięła, więc brat musi przytulić i pochować... — a i korale jeszcze coś warte. Idź paniczu, idź kochanie, ja się tu modlić będę za ciebie, a i ty pomyśl czasem o starej Dorocie..

Odszedł nareszcie Arnold z ciężkim smutkiem w duszy, oglądając się co chwila i żegnając miejsce, w którem zostawiał w zimnych mogiłach dwie jedynie kochające go istoty.

Gdy w kilka godzin ujrzał przed sobą słupy rogatki, strzegące wejścia do stolicy kraju, opuścił ręce z rozpaczą prawie. Idzie tam, i cóż pocznie sam jeden, bez opieki i żadnych zasobów? Dotąd zaopatrzony we wszystko, myślał jedynie o nabywaniu nauk, a teraz zkądże wziąć zasobów, na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb?

Zajęty temi gnębiącemi myślami o przyszłości, znalazł się w wązkiej uliczce, a w oknie schludnego domku przeczytał kartkę: „Pokoik do najęcia dla wolnych osób.“ Pomyślał chwilkę i wszedł do wnętrza tego domku, a po nie wielu słowach ugody z właścicielką dworku, najął bardzo tanio pokoik malutki z meblami koniecznemi, i natychmiast zajął go w posiadanie, ułożywszy książki na stoliku i powiesiwszy garderobę na szaragach.

Z dniem następnym rozpoczął naukę i poszukiwania o lekcje, które mu miały dać chleb codzienny. Nie było to jednak tak łatwo. Po długich prośbach i rozpytywaniach dostał nareszcie dwie godziny zajęcia, jedną u rzeźnika koło kościoła Panny Marji Śnieżnej, drugą na Zamarstynowie u wdowy po piekarzu zbankrutowanym. Tu i tam była cena tak niska, że opłacała prawie zaledwie zdarte obuwie, przy tych przechadzkach dalekich. Cóż było jednak robić! Musiał brać co się zdarzało. Pieniądze dane mu przez Dorotę, po zapłaceniu mieszkania mogły mu zaledwie wystarczyć na miesiąc życia — a potem — cóż potem? Arnold był młodym, szesnastoletnim młodzieńcem, ale od lat najmłodszych roztropny nad wiek, zapatrywał się już surowo na życie i nie chciał spuszczać się na wypadki losu, woląc wszystko obliczyć naprzód z ścisłością matematyka.

Wkilka dni więc rozpoczął pracę około nauki własnej i uczniów powierzonych jego pieczy. Domek, w którym zamieszkał, prócz jego i właścicielki nie miał innych lokatorów, co mu bardzo odpowiadało, gdyż cichość niezamącona, którą lubił i która odpowiadała jego usposobieniu, panowała tam nieustannie.

Niewidywał prawie nikogo z współmieszkańców. Czasami przesunęła się przygarbiona, nie młoda

siwiejąca już kobieta — rzadziej jeszcze dojrzał chodzącą po ogródku wysoką, chwiejną postać kobiety młodszej zapewne, bo twarzy jej dojrzeć nie mógł dotychczas, lub też usłyszał głosy szepczące, ciche, jakby obawiające się obudzić chorego.

Tak przeszedł miesiąc cały.

Gdy pierwszego wypłacono mu rzetelnie należytość za udzielane lekcje, przypomniał sobie, że i on powinien swej gospodyni punktualnie za lokal zapłacić. Szczęśliwy, że nie jest w amba rasie pod tym względem, z lekka zapukał do ich mieszkania, a na stereotypową odpowiedź: proszę, wszedł do wnętrza

Właścicielka dworku, pani Białska, siedziała w kąciku na małej kanapce. W ręku trzymała jakąś robotę szydełkową, na którą niezdawała się zwracać pilnej uwagi. Kobieta ta mogła liczyć lat pięćdziesiąt najwięcej, mimo że włosy miała już prawie całkiem siwe. Postać jej była jakby przygarbiona ciężarem cierpień, bo oczy duże i piękne błyszczały jeszcze, a usta zdawały się zaciśnięte kurczowo w obawie, by jękiem nie zdradziły bolu ukrytego.

Podniosła się za przybyciem Arnolda, i spojrzawszy mile na niego, rzekła:

— A! to pan! Dzień dobry. D...yślam się, że przyszedłeś pan z czynszem. Niegrzecznie ze strony pana, przez cały miesiąc nie pokazać się u nas. Czyż to koniecznie trzeba było czekać aż na dzień dzisiejszy?

— Pani dobrodziejka daruje... ja tak mało mam czasu... — odrzekł zakłopotany młodzieniec. — Muszę pracować nad sobą i lekcje mam tak daleko.

— Oj! nie nadwerężaj pracą zdrowia dziecko — rzekła cicho kobieta — lepiej mniejszem się obejść. Co potem po wszystkiem, gdy zdrowia braknie! — i dwie łzy zwolna potoczyły się po wybladłem licu.

— Proszę, usiądź pan na chwilę, a gdy kiedy tylko w miesiącu znajdziesz pan wolną godzinkę, z którą nie będziesz wiedział co zrobić, zaglądnij do mnie, jak do matki. Pan masz rodziców?

— Nikogo pani, nikogo, sam jeden jestem na świecie... — odrzekł Arnold szeptem.

— Przepraszam cię moje dziecko, za wywołanie smutnego wspomnienia, za przypomnienie sieroctwa — rzekła głosem współczucia, odczuwszy łzy w jego głosie. — Może — mówiła dalej nieśmiało —- może natychmiastowe zapłacenie czynszu, robi panu w tym pierwszym miesiącu różnicę? Mnie tak bardzo na tych kilku reńskich nie zależy — możeby później?...

— O nie pani — nie! Teraz jeszcze mogę. Może kiedyś zabraknąć mi lekcyj i przyjdzie chwila, w której będę prosił o łaskawe przebaczenie za niesłowność, ale teraz proszę — i podał jej papierek pięcioreńskowy.

— Mnie się trzy tylko należy — odrzekła. — Lolu, Lolu! — zawołała, i za chwilę stanęła na progu wysoka postać niewieścia.

Arnold skłonił się w milczeniu, na co otrzymał uprzejme głowy skinienie.

— Lolu — rzekła starsza pani — nasz lokator przyniósł czynsz. Zgodziliśmy się za cztery reńskie, ale uważam, że meble są stare a młody pan bardzo spokojny i cichy — spuszczam więc na trzy. Zwróć przeto resztę.

Lola milcząc wzięła papierek z rąk starszej kobiety i wolnym krokiem odeszła do drugiego pokoju.

— Pan może nie wie nawet, że to moja córka? — zagadnęła pani domu

— W istocie... ja tak mało jestem w domu... — tłumaczył się Arnold.

Za chwilę wróciła Lola, i podawszy resztę pieniędzy Arnoldowi, usiadła przy matce.

Teraz dopiero Arnold mógł się jej dobrze przypatrzyć. Liczbę lat trudno było odgadnąć. Zapewne musiała być młodą, lecz widocznie jakieś przejścia zwiały rumieniec z jej oblicza i urok młodości. Twarz jej była zbyt długa, usta kształtne bezbarwne, obcięte włosy ciemne i gęste zaledwie do pół szyi spadały. oczy duże niepewnej barwy zdawały się pływać we łzach, które zapewne blask ich zgasiły. Postawę miała piękną, wyniosłą, ale zbytnia szczupłość czyniła ją mniej zgrabną, jak mogła mieć po temu warunki.

— Jakże się panu podoba jego mieszkanko? — zapytała cichym głosem.

— Bardzo! — odrzekł. — Miło, świeżo, wygodnie i cicho.

— Właśnie myślałam, że ta cisza nie miła panu. Wiek pierwszej młodości szuka gwaru i rozrywek, nie lubi poważnego nastroju.

— Pragnienia takie zapewne odczuwać muszą szczęśliwi, ale kto jest zupełnym sierotą i ma smutek w sercu...

Lola popatrzyła mu w oczy i usta jej zadrżały.

— Tak młody i już nosisz się z tym gościem w piersi! — wyszeptała. — Mamo — rzekła po chwili, zwróciwszy się do tejże — czy wie mama, kogo mi ten pan przypomina?

— Nie mów, nie mów! bo i mnie on go przypomniał — rzekła matka i do ócz chustkę podniosła.

— Miałam brata, kochanego brata, ze wszystkich trzech najukochańszego — mówiła Lola głosem drżącym z tłumionej boleści. — O! ukochany Kazio! Był w wieku pana i przypominasz go pan bardzo!

— Więc brat pani... cóż się stało? — zapytał Arnold.

— Umarł przed dwoma laty! — odrzekła głosem bez dźwięku, a z łzawej źrenicy wybiegły dwie łzy i potoczyły się cicho po bladem licu.

Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał Arnold zapytaniem:

— A pozostali bracia pani gdzież się znajdują?

Z piersi matki wydarł się jęk cichy, a Lola odparła szeptem:

— W grobie — wszyscy w grobie! — trzech braci i dwie siostry!...

— I cóż się to stało? jakaż słabość była powodem? — zapytał przerażony młodzieniec.

— Suchoty — brzmiała cicha odpowiedź.

I znowu przez długą chwilę trwało milczenie.

— Więc z licznej rodziny pozostała pani tylko jedna? — przemówił znowu Arnold z współczuciem.

— O nie! — mam jeszcze siostrę, kochaną, drogą, śliczną siostrzyczkę! Sama ją prawie wychowałam, wypieściłam — to najmłodsze dziecię. Po tych wszystkich nieszczęściach naszych uradziłyśmy się z mamą, że najlepiej wysłać ją na wieś, pozbawić się roskoszy posiadania jej przy sobie, byle jej zdrowie zapewnić. Jest u cioci — a! żebyś pan widział jaka śliczna! jak pączek, jak różyczka! Niezadługo skończy lat czternaście. Pojedziemy mamo do niej na drugi miesiąc — prawda? — trzepała z gorączkowem ożywieniem zaczepiwszy o przedmiot ukochany.

Arnold wyszedł wkrótce zapraszany najserdeczniej do jak najczęstszych odwidzin, biednych, osamotnionych kobiet. Z współczucia dla ich cierpień moralnych obiecał czynić to zawsze, gdy tylko czas mu pozwoli, a znalazłszy się w swojej izdebce rozmyślał nad ogromem nieszczęścia tej biednej matki, której tyle ukochanej dziatwy nielitościwa śmierć zabrała. A ta biedna, blada, wysoka Lola! Na czem że upłynęły najpiękniejsze jej lata? jakież wspomnienia z nich uniosła? Jęki dogorywających — trumny — śpiew grobowy księży — stuk grudek ziemi sypanej na coraz świeższe mogiły ukochanych — a potem rozpacz matki, którą ona pocieszać musiała, której ona wszystkich zastąpić musiała, dla której z zaparciem się swego bolu wywoływała uśmiech na zbladłe usta, połykała łzy, któreby przyniosły piersi ścieśnionej choć chwilową ulgę. Jakimże cudem znalazła w sobie tyle siły ta wątła dziewica? A jeżeli ta nieubłagana choroba dotknie zatrutym oddechem i tę najmłodszą, ostatnią, drogą pieszczoszkę, na której wspomnienie oczy zbladłe blaskiem jaśniały? Jeżeli i ona jak trzech braci i dwie siostry...

— A nie! nie! — zawołał Arnold głośno sam do siebie. — Nie Panie, Ty tego nie dopuścisz! Niech ona żyje na pociechę tych biednych kobiet, bo Lola, ta blada, wysoka Lola, o swej przyszłości nie marzy już zapewne!

Od tej chwili Arnold coraz bardziej przyswajał sobie myśl obrania zawodu lekarskiego. Nieraz przedtem marzył już o tem, ale odstręczała go myśl kosztów, które ta nauka ponosi za sobą; teraz jednak uparcie wracał do niej.

— Ach! — mówił — jakież to wzniosłe powołanie, ratować tych, którzy są szczęściem drugich, których życie jest tak drogie pozostałym! Gdyby naprzykład lekarz był uratował księdza Pawła, nie byłbym tak samotny na świecie! Gdyby moja biedna, kochana matka żyła jeszcze, mój Boże! zdaje mi się, że na ziemi nie byłoby szczęśliwszego odemnie człowieka! Lekarz zdolny i z poczuciem swych obowiązków, to pół-bóg dla ludzi!

Z temi myślami zasypiał prawie zawsze.

Położenie jego o wiele już się polepszyło teraz, gdyż dostał dwie lekcje bliżej i o wiele korzystniejsze, mógł więc tamte porzucić. Przytem gospodyni tak go polubiła, że traktując jak syna, sama mu zaproponowała, by się u niej wiktował, biorąc od niego mniej niż mierne wynagrodzenie, i to tylko dla tego, by nie upokarzać dumy młodego chłopca. Był z nią jak z matką, z Lolą jak z siostrą starszą, która na cześć i szacunek zasługiwała. Lubiły go też kobiety i dziękowały

Bogu, że dał im lokatora, przy którym nie czuły się tak samotne i opuszczone. Bóg wie, jakie tam myśli roiły się w głowie Loli, bo często do nich mimowolnie się uśmiechała i wypogadzało się jej czoło, a nawet czuła częściej potrzebę rozmowy.

— Wie mama — rzekła raz siedząc przy oknie i haftując — wie mama co mi przyszło do głowy? Gdy pojedziemy na Boże narodzenie do cioci, musimy wziąć ze sobą Arnolda! Cóż by on tu biedny sam robił!

— I owszem, byle tylko chciał jechać — odrzekła matka.

— Pojedzie, pojedzie, ja go namówię. On mnie w wielu rzeczach słucha — i uśmiechnęła się, a po chwili dodała: — Wie mameczka, jestem pewną, że jak pozna Milunię, to się w niej zakocha!

— Zakocha? Zmiłuj się! wszak on jeszcze dziecko! Co też ty pleciesz moja Lolu!

— Zobaczy mama — mam takie przeczucie! Dziecko — cóż to znaczy, ma przecież rok siedemnasty, a zacny i rozumny jak najstarszy! Wszak nasza Milunia ma dopiero lat czternaście. On skończy szkoły, zostanie lekarzem, ona dorośnie i pobiorą się. Znając się lat kilka i kochając, będą potem przez całe życie szczęśliwi. Będą mieszkać na tej stronie, a my obydwie w tamtym pokoiku — prawda? — kończyła, roskosznie uśmiechając się do tej myśli.

Matka położyła robotę na kolanach, i mimowolnie pociągnięta słowami córki, rzekła cicho, jakby z trwogą:

— On nic nie posiada — ona bardzo mało...

— A! cóż to znaczy moja mamo! Żebyśmy nie wiem jak długo wybierały, nie znalazłybyśmy podobnego! W tym chłopcu dusza zdrowa, serce czyste, umysł wzniosły — takiemu tylko możemy oddać naszą śliczotę kochaną Nie jest ona znowu taka biedna — mówiła dalej. — Ciotka ją tak kocha, a dzieci nie ma; zresztą i ten dworek coś wart...

— Przecież i ty potrzebujesz twoją połowę — odezwała się w zamyśleniu matka, broniąc praw pierworodnego dziecka.

— Et! moja mamo! cóż ja potrzebuję! Przy twojej pensyjce i moich kilku reńskich, które otrzymuję w drodze łaski, dostatnio żyć możemy.

— Zamąż pójść możesz — szepnęła matka.

— Ja? zamąż? — powtórzyła. — Nigdy mi to i przez myśl nie przejdzie! Na co — po co? któżby mnie chciał zresztą? Czemże mogłabym udarować mego przyszłego? Jestem stara i brzydka!

— Byłaś bardzo ładną — najładniejszą, a dziś zwiędłaś pod wpływem smutków... Możesz znowu dobrze wyglądać, rozkwitnąć. Wszak przed dwoma miesiącami skończyłaś dopiero lat dwadzieścia cztery.

— Co to znaczy mamo — co to znaczy! Mnie się zdaje, żem starsza od ciebie! Z młodością i marzeniami o szczęściu dawno zrobiłam już rozbrat, teraz jedynem mem marzeniem twój spokój i szczęśliwa przyszłość Miluni!

Rzekła to tak swobodnie i z taką prawdą w głosie, że matka ujęła jej głowę w swoje dłonie i szepnąwszy: — Biedne dziecko! — ucałowała jej czoło.

Arnold chętnie przystał na zaproponowane mu towarzyszenie paniom w przejażdżce na święta. On tak się zżył z niemi, iż nie wiedział nawet, coby począł ze sobą po ich odjeździe.

Ciotka mieszkała we wsi w górach. Była również wdową i posiadała czwartą część górskiej wioszczyny. Nader poczciwa, była z całem wylaniem dla siostry o wiele starszej, i jej dzieci, których niestety sama nie miała. Milunia bawiła u niej już od lat paru, a ta cieszyła się jej zdrowiem jak własnem dziełem. Arnolda nie wiedziała jak przywitać ze szczerej gościnności, dziękowała mu za przyjazd sto razy dziennie, i nakładała takie olbrzymie porcje na talerze, że biedny chłopiec wypraszał się od jedzenia jak od kary najcięższej.

Arnold ciekawie przypatrywał się Miluni, która była bożyszczem wszystkich. Matka i Lola po rękach ją całowały i pieściły jak małe dziecię. A nie wyglądała już na to zupełnie. Była to słuszna i silnie rozwinięta panienka, i pomimo zbytniej może trochę tuszy, zgrabna i ładna. Miała twarzyczkę krągłą, bardzo białą, i mocno rumianą, oczy podobne jak Lola, tylko świecące nie łzami lecz wesołością, włosy jasne i kręte, które pomimo splecenia wysuwały się w figlarnych loczkach na wszystkie strony, nosek mały, trochę zadarty, harmonizował z ustami nieco może za szerokiemi ale barwy tak silnej purpury, że nie ujmowało im to nic wdzięku, osobliwie gdy białe, drobne ząbki, ustawicznie w głośnym, pustym śmiechu, z po za nich wyzierały.

Nie była to piękność, jak ją Lola przedstawiała, ale było to bardzo miłe, ładne dziewczątko, na którem z przyjemnością wzrok się zatrzymywał.

Kilka dni spędzonych razem minęło szybko. Trzeba było wracać do Lwowa, do nauki i pracy.

— Kiedyż się więc znowu zobaczymy? — spytała Milusia odjeżdżających przy ostatniej wieczerzy ze łzami w oczach.

— Na Wielkanoc dziecko drogie — odrzekła matka, a Lola powstała, by ukryć łzy rozstania.

— Na Wielkanoc! O! to tak długo jeszcze czekać! — zawołała dziewczynka. — A pan przyjedziesz? — dodała zwracając się do Arnolda.

— Czyż ja wiem, czy mię panie wezmą, a panie tu przyjmą chętnie? — odrzekł z uśmiechem.

— Mamo, niech i pan Arnold przyjedzie! Ciociu, proś niech przyjedzie! Ja już proszę — wołała głosem kapryśnego dziecka — ja chcę żeby przyjechał!

Proszono go więc, a proszono tak silnie i serdecznie, domagano tak pewnej obietnicy, że otrzymano ją bezwarunkowo.

Na drugi dzień rano, wśród łzawych pożegnań, odjechano napowrót do Lwowa.

Po powrocie do domu, Lola czuła się szczęśliwą prawie. Jakaś nadzieja ją ożywiała, czyniąc piękniejszą i weselszą. Ona tak mało miała chwil jasnych w życiu!

Ojciec jej był kontrolorem przy urzędzie podatkowym, nielubionym od przełożonych, gdyż prócz nieposzlakowanej zacności, był jeszcze gorącym patryjotą narodu, do którego należał, z czem nie ukrywał się zupełnie, a co stwierdził pojęciem za żonę córki człowieka, zmarłego w kaźni więziennej, dokąd go zaprowadziła miłość ojczyzny — i która mu wniosła w posagu serdeczną miłość i wszystkie cnoty niewieście, wraz ze skromnym domkiem na Żółkiewskiem przedmieściu, który pozostała rodzina do dziś zamieszkiwała.

Lola była najstarsza i niestety najmniej lubiana przez matkę. Dlaczego kobieta tak pełna szlachetności i sprawiedliwości, robiła różnicę w przywiązaniu do siedmiorga dziatek, któremi ją Bóg obdarzył — trudno zaiste wytłumaczyć! Może dla tego, że Lola była bardzo żywa i swywolna — może że była roztropniejsza i ładniejsza od reszty — może nareszcie dla tego, że ojciec zdawał się mieć słabość do pierworodnego dziecięcia i przy każdej sposobności lubiał się chwalić jej zdolnościami, których w istocie posiadała sporo, a które ojciec uprawiał z odjęciem sobie chwil odpoczynku po pracy biurowej, skutkiem czego dziewczynka uderzała każdego niezwykłą inteligencją i jakąś wyższością oraz taktem w postępowaniu. Może więc była to zazdrość matki, która pragnęła mieć wszystkie dzieci jednakowe, dość, że co się kiedy w domu złego stało, wszystkiemu była winna Lola. Czy się co popsuło lub stłukło, przepaliło lub wylało, albo które z dzieci co zbroiło, Lola, która od bardzo młodych lat musiała dopomagać matce w zarządzie domu i zajęciach około licznej rodziny, odbierała za przewinienia całego domu ostrą naganę. Z początku żywa i wesoła dziewczyna, nie zauważyła nawet tego, wkrótce jednak zaczęła rozmyślać nad tą niesprawiedliwością i żal zagnieździł się w młodej piersi, a z nim razem zaczęła tracić zwykły humor, i z wiecznie wesołej i śmiejącej, stawać się poważną i myślącą. Najpierw zauważył to ojciec, i zatrwożył się o zdrowie ukochanej córki. Matka jednak nazwała tę zmianę zaszłą w usposobieniu dziewczęcia kaprysem i podwójnie dawała jej uczuć swą niechęć. W tym czasie najstarszy syn, już szesnastoletni, zachorował, z początku niby nieznacznie, wkrótce jednak rozwinęła się choroba piersiowa, a po kilku miesiącach płacząca rodzina odprowadzała ciało jego na oddalony smentarz. Matka rozpaczała — ojcu przybyły dwie głębokie bruzdy na czole, Lola płakała długo, bo całem poczciwem sercem kochała rodzinę.

W niespełna rok potem, Krzysia, o dwa lata młodsza od brata, dostała silny katar, a wkrótce, ot, nie wiedzieć z czego, zaczęły chudnąć i bladnąć pełne i rumiane policzki, a tak to szło galopująco, że nim skończyła lat piętnaście, spoczęła obok brata. — Matka odchodziła od zmysłów, ojciec przygarbił się, o w około ócz zakreśliły mu się sine obwódki od nocy bezsennych. — Lola leżała u nóg matki, chcąc choć w części zastąpić miejsce zmarłej.

Nie przeszło kilka miesięcy, a smutną rodzinę, wracającą z smentarza, dokąd ich teraz zwykła zaprowadziła przechadzka, zaskoczył deszcz z szarugą śnieżną, bo to był listopad, i od dnia tego Julko i Felcia poczęli kaszlać, a choć wszystkie dzieci były jak to mówią „nabite ciałem,“ zdumie-

wając prędko przeciągnęły im się twarzyczki i każda kostka w ciele ostro się zarysowała. Dzieci chodziły jeszcze choć osłabłe i kaszlące, bawiły się, a czternastoletni Julek zaręczał nawet, że może pójść do szkoły, bo inne dzieci chodzą, mimo, że nawet bardziej kaszlą i on potem im nie sprosta w naukach, a rok tracić wcale nie ma ochoty. — Felusia zaś twierdziła, iż nic jej prawie nie brakuje, a że troszkę kaszle, cóż to szkodzi! W nocy jej tylko bardzo gorąco i poci się mocno, a potem cały dzień zimno. Ale zresztą nic jej nie jest, zupełnie zdrowa, a mama niedobra nie chce pozwolić pójść do kościoła lub koleżanek, i płacze, płacze, nie wiedzieć dla czego! Prawda, że i jej żal bardzo Adasia i Krzysi, ale ksiądz katecheta mówił, że grzech sprzeciwiać się woli Boga! A masz nas mamo jeszcze pięcioro! — dodawała, zarzucając płonące od gorączki rączęta na szyję matki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po latach dwudziestu.

(Ciąg dalszy).

Otóż w piękny dzionek wrześniowy, Armand „polował“ w ten sposób na pagórku, nad drogą do Bonniére prowadzącą, gdy nagle głuchą ciszę, otaczającą go w koło, przerwał tętent konia i rżenie tegoż wesołe. Oderwał oczy od książki i zobaczył tuż przed sobą amazonkę młodziutką, zaledwie lat piętnastu, na niewielkim poney maści siwej. Wstał natychmiast i usunął strzelbę, którą tak był oparł o drzewo, że przez pół wąską drożynę barykadowała, skłoniwszy się grzecznie młodej panience. Ta atoli wstrzymała konia zamiast jechać dalej.

— Pan daruje, która godzina? — spytała śmiało, bez cieniu zakłopotania.

— Czwarta pani — rzekł młodzieniaszek rzuciwszy okiem na zegarek.

— Zostaje mi więc dwie godziny do obiadu. Bardzo jeszcze wiele czasu — wtrąciła po chwili Walentyna de Trameillan. — Toby zgrzany okropnie, a i jam zmęczona — oburącz odrzuciła w tył gęste, czarne loki, które rozburzywszy się galopem szalonym, oczy i twarz jej całą zasłaniały. — Taki tu kącik chłodny i przyjemny. Chętnie bym chwilkę spoczęła. Wszak pan pozwoli?

I bez wszelkiej dalszej ceremonji, rzuciła trenzle młodzieńcowi, zsunąwszy się lekko z konia na pniak przydrożny.

— Pan polował? — rzuciła okiem na próżną torbę, a na małych i jak wiśnia ponsowych usteczkach, zaigrał uśmiech drwiący — i z niczem powracasz?...

Nagle spoważniała, jakby lękając się, czy ta uwaga nie dotknie i nie obrazi młodzieńca.

— Oh! tędy niema wcale zwierzyny — dodała — trzeba jej szukać po za lasem, na świeżo zżętych ścierniskach. Tam kuropatw jak nasiał. Lubię pasjami polowanie! Ojciec kupił mi lekką dubeltówkę i chodzę z leśniczym po parku naszym i polach. Zastrzeliłam tego lata dwa króliki i cztery kuropatwy!

Spojrzała na młodego chłopca tryumfująco. Gawędzili dalej. Armand przyznał się szczerze, iż nie lubi wycieczek tak nużących. Spytała jak się nazywa i czem się trudni. Dowiedziawszy się, że kończy studja prawnicze, aby zostać adwokatem, skrzywiła się miłosiernie i ręką machnąwszy niemal z pogardą:

— Ja! — żywo zawołała — gdybym była mężczyzną, tylko w wojsku bym służyła!

Gdy wymienił swoje nazwisko, plasnęła w dłonie radośnie.

— Ależ jesteśmy bliskimi sąsiadami! Park w Albray dotyka prawie do lasu w Mesnil. Kiedyś tu o mało nie wpadłam na pańskie terrytorium za królikiem. Wstrzymał mnie jednak w zapędzie leśniczy, mówiąc, że takie najście pachnie procesem.

Armand zapewnił z całą galanterją, iż byłby najszczęśliwszym, gdyby raczyła kiedy przekroczyć granicę.

— Mój ojciec żyje w takiej samotności! — kończyła z naiwną szczerością. — Nudzę się nieraz okropnie. Jakżebym się cieszyła, gdybyś pan zaczął bywać u nas. Zobaczyłbyś pan jakbyś polubił i jazdę konną i polowanie! Oddałabym panu mojego Toby — łogodny i powolny jak baranek! — a dla mnie osiodłanoby Arabellę. Trochę żywsza, ale to nic nie szkodzi.

Minka jej protekcjonalna, gdy wymawiała te słowa tonem decydującym, była niezrównaną!

Jednym skokiem już była na siodle i pożegnawszy główką i rączką Armanda, puściła się pełnym galopem, bo gawędząc trochę się była zapóźniła. Rzecz dziwna, straciwszy ją z oczu, Armand uczuł próżnię w koło siebie, jak gdyby ta dziewczyna zabrała duszy jego połowę.

Zobaczyli się znowu. Armand potrafił namówić matkę do tej wizyty w sąsiedztwo, pod pozorem, iż potrzebuje gwałtem do swoich studjów, bogatej bibljoteki hr. d'Trameillan. Pani d'Arçay nie umiała sprzeciwić się w niczem najdroższemu jedynakowi, pojechała więc do zamku d'Albray, chociaż od czasu, jak mąż jej tak straszliwie zachorował, zamknęła się w czterech ścianach domu, gorzej niż w klasztorze.

Dwoje tych dzieci znajdowało roskosz niewysłowioną w stosunkach coraz ściślejszych, które ich łączyły. Dwie natury tak odmienne, sympatyzowały z sobą jednak zupełnie.

Hrabia de Trameillan, który od śmierci żony ubóstwionej, zdawał się pogrążony w wiecznej, smętnej zadumie, bynajmniej się córką nie zajmował. Rozwijała się też fizycznie i moralnie z całą swobodą, bez

przymusu najmniejszego. Nie było w niej ani cieniu owej nieznośnej przesady, którą odznaczają się ogólnie panny w mieście wychowane. Te od lat dziecięcych odbywają kurs cały udawania i obłudy na każdym kroku. Była to natura otwarta, idąca zawsze za pierwszym popędem, szlachetna, nie znająca dotąd grzechu, łagodna przytem i wybaczliwa. Mimo wrodzonej energji, było to jednak serduszko tkliwe niesłychanie i potrzebujące nawzajem czułości. Cierpiała wielce, czując się tak osamotnioną. Matki wcale nie znała, ojciec zaś odstraszał ją zachowaniem i postawą sztywną, lodowatą.

Zawiedziony w swoich nadziejach co do karjery politycznej, zrozpaczony po śmierci przedwczesnej najukochańszej życia towarzyszki, hrabia popadłszy niemal w melancholję, nie mógł zadowolnić osoby młodej, z duszą pełną zapału, rwącej się do życia, do używania, która pragnęła kochać i być nawzajem kochaną. Miłość Armanda wynagrodziła jej tysiąckrotnie brak czułości u ojca i tę dziwną obojętność, jaką córce jedynej okazywał od lat dziecięcych.

Pani d'Arçay wkrótce spostrzegła skłonność wzajemną młodej pary. Nie myślała im jednak przeszkadzać. W jej przekonaniu syn był wart choćby królewny! Z drugiej strony, czyż mogła życzyć sobie milszej i lepszej synowej?

Armand zatem odwidzał codziennie zamek d'Albray, zamiast atoli wertować dzieła, złożone na półkach z dębu czarnego w bibljotece zamkowej, spędzał długie godziny na przechadzkach i gawędce roskosznej z Walentyną. Jak przedtem tak i teraz, hrabia nie wiele troszczył się o córkę, była ona jednak pod strażą lepszą niż wszelkich stróżów i duennów najsurowszych, pod strażą miłości tak czystej, tak pełnej czci rycerskiej, iż cień najlżejszy nie padł na jasne jej duszy źwierciadło.

Kochali się nawzajem, nie umiejąc sobie nawet zdać sprawy z tego co czuli. Próba ciężka, którą przejść musieli, oczy im dopiero otworzyła. W latach dwudziestu Armand niebezpiecznie zachorował. Gdy Walentyna przestała go codziennie widywać, gdy nie słyszała więcej odgłosu jego szybkich kroków na marmurowej w sieniach zamkowych posadzce, gdy musiała błąkać się sama po parku cienistym, nie mając z kim myśli podzielić w słodkiej, poufnej gawędce, gdy co chwila serce jej się trwogą ściskało i bladła coraz więcej od tęsknoty niewypowiedzianej, od myśli trapiącej, że towarzysz jej najmilszy leży chory, zdala od niej, od jej starań! wtedy zrozumiała jak silne węzły łączą ich serca nawzajem, pojęła, iż kocha Armanda całą duszą i gdyby on umarł, przeżyć by go nie potrafiła.

On również myślał tylko o Walentynie, o niej mówił w halucynacjach gorączkowych, do niej wyciągał ramiona drżące i wychudłe, a gdy wracał na chwilę do przytomności, cierpiał więcej na rozłączeniu z Walentyną, niż mu dokuczała sama choroba.

Walentyna odgadła myśli tajemne najdroższego. Nie mogąc sama zlecieć do niego na skrzydłach miłości i na współ z matką pielęgnować, posłała mu przynajmniej swój portret, zrobiony przed dwoma laty przez malarza doskonałego. Matka uszczęśliwiona powiesiła portret w nogach łóżka, tak żeby wzrok chorego spoczywał bezustannie na tych drogich rysach, aby mógł szukać sił i pociechy w tych oczach prześlicznych, które z płótna nawet wyzierając, zdawały się uśmiechać słodko do jedynego przyjaciela.

Armand nader powoli wracał do sił i zdrowia. I znowu los przekorny dziwnie mu szyki poplątał. Ojciec jego, który zrazu był furjatem, później przeszedł w szaleństwo spokojne, iż można go było bez niebezpieczeństwa w domu trzymać, teraz zaczynał spać ciągle prawie snem letargicznym. Aby przedłużyć tę nędzną egzystencję, poradzono pani d'Arçay, wyjechać do Włoch na zimę.

Dla Armanda był to cios podwójny. Przerywał sobie kurs nauk w chwili gdy je kończył i miał zbierać owoce swej pracy, i na czas nieograniczony rozłączał się z Walentyną. Obowiązek atoli nakazywał mu wyjechać i wyjechał bez wahania. Na dzień przed wyjazdem, poszli oboje o zmroku do kaplicy zamkowej, i tam przy bladem światełku lampki migocącej niby gwiazdka przed wielkim ołtarzem, przysięgli nawzajem, iż muszą prędzej czy później do siebie należeć.

Po trzech latach dopiero umarł pan d'Arçay w Bordighera. Jak przez lat dwadzieścia tak i przed skonem, nie miał chwili jaśniejszej, do końca nie poznawał nikogo, ani żony, ani syna, odwracając się od nich niemal ze wstrętem.

Pani d'Arçay z Armandem, odwieźli zwłoki radcy do grobów rodzinnych w Mesnil. Przez rok cały nie mogli się otrząść i opamiętać w ciężkiej boleści. Do końca wierzyli, że radca wyzdrowieje, łudzili się wbrew rozumowi, wbrew zdaniu lekarzy najbieglejszych. Zwykle w takich razach, serce przygłusza głos rozumu. Jedyną rozrywką była dla Armanda nauka, jedyną pociechą, towarzystwo Walentyny. Został wreszcie przyjęty do grona adwokatów. Pani d'Arçay poświęciwszy lat tyle mężowi, teraz wyłącznie o synu myślała. Zaczęła budowę pałacyku w Rennes, a przez delikatność wygórowaną, którą młodzi ocenić umieli, radziła ich się we wszystkiem, dając do poznania, że im pałac ten przeznacza.

Odważyła się wreszcie na krok stanowczy, tak opóźniony przez nieszczęśliwy zbieg wypadków. Pojechała do zamku d'Albray prosić oficjalnie hrabiego de Trameillan, o rękę córki dla Armanda. Strach ją ogarniał. Znała aż nadto dobrze wyznanie wiary hrabiego. Wiedziała, do jakiego stopnia czci wielkość i starożytność rodu swojego, z jaką pogardą patrzy na każdy zawód, choćby najzaszczytniejszy, skoro ma się go spełniać za pieniądze, drżała na myśl, iż przesądy w krwi zakorzenione nie pozwolą hrabiemu oddać ręki Walentyny adwokatowi; a taka odmowa może zwi-

chnąć całą przyszłość i zatruć boleścią nad siły, resztę życia jej synowi najdroższemu.

Głosem też stłumionym głębokiem wzruszeniem, wygłosiła prośbę zwyczajem uświęconą, w obec tego starca z wzrokiem roztargnionym, który zdawał się wiecznie oderwany od rzeczywistości, a błądzący myślami gdzieś daleko, bardzo daleko, w przeszłości zgasłej od dawna.

Jakże mile się zdziwiła, gdy te rysy jakby z marmuru wykute, nic nie wyraziły, prócz lekkiego, na pół stłumionego ziewnięcia. Hrabia podniósł się na krześle, skłonił grzecznie pani d'Arçay i przemówił zwykłym tonem zimnym, monotonnym i z widocznem roztargnieniem:

— Tak? kochają się te dzieci?... To dobrze... spodziewałem się czegoś podobnego... Ślub może się odbyć, skoro to państwo między sobą ułożycie... Mój notarjusz oznajmi pani, ile Walentyna dostaje w posagu.

X.

Hrabia de Trameillan nader rzadko gości u siebie przyjmował. Nikomu nie ufał i dla świata całego żywił rodzaj niechęci, prawie nienawiści. Siedział też najczęściej zamknięty w swoim pokoju, jak prawdziwy odludek. Czasem jednak poczuwał się do obowiązku zaproszenia kilku sąsiadów na obiad do zamku, między innymi proboszcza z Bonnière, którego odznaczał niezwykłym szacunkiem.

Po obiedzie Armand wziął pod ramię pana de Rigny, który kupił Marnes z przyległościami, po zejściu nagłem z tego świata nieszczęśliwego hr. de Mortrée. Pragnął dowiedzieć się od dziedzica obecnego, szczegółów niektórych o nieboszczyku. Zaledwie atoli wymówił nazwisko Marcelego de Mortrée, pan de Rigny cofnął się o krok z przerażeniem, zaklinając Armanda głosem jak najcichszym, aby nigdy w obecności swojego teścia przyszłego nie wspominał o tym człowieku.

— Dla czego? — spytał Armand wielce zaciekawiony. Doszło wprawdzie do niego z tradycji, iż dwaj najbliżsi sąsiedzi nigdy się nie widywali i mieli się nawzajem nienawidzieć, nie mógł nigdy atoli zbadać dokładnie powodów właściwych tej nienawiści.

— Chodźmy na terasę do ogrodu — pociągnął go za sobą ostrożny i bojaźliwy pan de Rigny. — Opowiem panu rzecz całą w kilku słowach.

Oglądnąwszy się w koło czy ich nikt nie podsłuchuje, pan de Rigny nadmienił, iż już dziad i ojciec hr. de Mortrée, nie używali między swoimi najlepszej reputacji. Dziad zbogacił się, wykupując za bezcen dobra po emigrantach, czego mu nigdy szlachta okoliczna darować nie mogła; ojciec nie tylko był obojętny dla sprawy księżnej de Berry, ale nawet przyjął jakiś urząd od rządu ówczesnego, czego mu znowu hrabia de Trameillan nie mógł zapomnieć. Syn przeszedł ich obu. Zaparł się wszelkich rodowych tradycji, nie wierzył ani w Boga, ani w djabła, ani w prawa odwieczne do tronu Francji Pomazańców bożych. Gdy raz spotkał go przypadkiem hr. de Trameillan u jednego z sąsiadów, plecy mu pokazał i zamiast przyjąć dłoń jego, oświadczył nawet, iż gdyby nie wzgląd na sędziwego gospodarza domu, byłby mu po prostu rękawiczkę w twarz rzucił. Nie nazywał go inaczej jak zdrajcą, odszczepieńcem i tem podobnie... Miał jednem słowem do tego młodego człowieka wstręt nieprzezwyciężony.

Opowiadanie pana de Rigny przerwała Walentyna, wymawiając słodko narzeczonemu, że tak zupełnie o niej zapomniał.

Podał jej ramię Armand i zeszli po schodach terasy do parku. Noc była przecudowna. Drżące promienie księżyca w pełni, przedzierały się przez gęste drzew konary, a w ich świetle niepewnem widać było to tu, to tam, wieszającą się mgłę wieczorną, która tworzyła rodzaj widm fantastycznych.

Armand z Walentyną szli dotąd w milczeniu pod wrażeniem ciszy uroczystej, która w naturze zapanowała, oczarowani blaskiem łagodnym księżyca, srebrzącym cały krajoobraz.

Zaledwie znaleźli się w parku, Walentyna ścisnęła lekko dłoń narzeczonego i przemówiła głosem drżącym:

— Czyś też pomyślał mój Armandzie o rocznicy, która dziś wypada?

Podniósł głowę zdziwiony i myślał przez chwilę; wreszcie, jakby mu się nagle rozjaśniło, zawołał obejmując w pół z czułością niewymowną Walentynę:

— Przypominam sobie najdroższa! Dziś rocznica śmierci matki twojej!

— Dla tego chciałam cię mieć dzisiaj w zamku. Nie lubię być samą w dni tak smutne!... Kocham bardzo tę biedną mamę, której wcale nie znałam!...

Dwie łzy duże w jej pięknych oczach zalśniły, otarła je westchnąwszy nieznacznie.

Szli teraz gęstym i ciemnym szpalerem grabowym.

— Zanim cię poznałam Armandzie, pielgrzymowałam codzień do tego miejsca poświęcanego. O! te drzewa widziały nie jedną łzę moją, zliczyły nie jedno westchnienie. Smutno mi było, iż nie mam matki, której mogłabym powierzyć myśli i marzenia moje tajemne... Zjawiłeś się ty, uwodzicielu najukochańszy! zabrałeś myśli wszystkie moje, zapełniłeś sobą serce całe! rzadko już teraz grób matki biednej odwidzam...

Wchodzili właśnie w miejsce odsłonięte i oblane potokami światła księżycowego. Na środku był rodzaj mogiły, otoczonej wieńcem świerków ponurych; na niej stał skromny, lecz wytwornej roboty sarkofag z marmuru kararyjskiego, na trzech stopniach szerokich i wysokich z marmuru czarnego.

Napis złoty na tablicy tak opiewał:

„Anna Ludwika Teresa Hrabina de Trameillan, została tu złożona dnia 2. września 18...! Przechodniu zmów Anioł Pański".

Młoda para zbliżyła się powoli do grobu. Walentyna tuliła się do piersi narzeczonego, głęboko wzruszona.

— Pobierzemy się niedługo — szepnęła — prośmyż biedną, drogą mateczkę, żeby nam z nieba pobłogosławiła.

Uklękli obok siebie na stopniu marmurowym, a oparłszy czoła rozpalone o zimny sarkofag, utonęli w modlitwie, dziwnie przejęci poetyczną uroczystością tej chwili i tego grobu samotnego. Wreszcie Walentyna pierwsza głowę podniosła.

Krzyk przeraźliwy wyrwał się z jej piersi, i zerwała się na nogi blada i przerażona. Naprzeciw niej, u stóp mogiły, jakaś postać chuda, przygarbiona, rzucała cień niepewny, a z pod czarnej kapuzy, głowę osłaniającej, świeciło dwoje ślepiów burych blaskiem fosforycznym, skierowanych wprost ku Walentynie.

Armand powstał również słysząc krzyk narzeczonej, chciał rzucić się i przytrzymać postać tajemniczą, Walentyna wstrzymała go jednak szybkim ruchem. Oprzytomniawszy cokolwiek, poznała kto to taki i zawołała na Armanda błagająco:

— Nie tykaj jej! To węglarka!

XI.

Wracali powoli do zamku. Opuszczając łączkę owalną, na której stała mogiła, Armand spojrzał raz jeszcze po za siebie. Genowefa Tinnet stała dotąd nieruchoma na tem samem miejscu. Przypomniał sobie, iż widział razy kilka tę staruchę, zbierającą suche gałęzie w parku, i że mu raz powiedziała Walentyna:

— Oto jedyna moja nieprzyjaciółka na całą okolicę Starałam się i ją sobie ująć, obsypywałam darami, wszystko nadaremnie. Skoro mnie zobaczy, mruczy pod nosem jakieś przekleństwa i mierzy wzrokiem gniewnym, jakby mnie nim przebić chciała. Nie mam jednak żalu do niej. Biedna to istota, pozbawiona jak utrzymują zdrowych zmysłów.

Szli dotąd w milczeniu. Chociaż oboje byli dalecy od wszelkich zabobonów, i mieli serca mężne, zostało im przykre wrażenie, po tem nagłem zjawieniu się starej upierzycy!

— Po co ta stara czarownica przyszła o tak późnej godzinie na mogiłę twojej matki? — przemówił wreszcie Armand, jakby odgadywał myśli tajemne swojej towarzyszki.

— Nie pierwszy to raz spotykam tę babę w rocznicę śmierci przy pomniku mojej matki... Zdaje się, że i biedna moja mama nie była u niej w łaskach... nienawidziła jej, jak mi mówiono... Tem trudniej to wytłumaczyć, iż ojcu mojemu dawała dowody wierności i poświęcenia niesłychanego.

W chwilę później wrócili do salonu. Proboszcz grał z panem de Rigny w ulubionego tric-trac'a, a hr. de Trameillan siedział w wysokim gotyckim fotelu, w oknie otwartem i patrzył w dal mglistą wzrokiem błędnym i roztargnionym.

Walentyna usiadła na usilną prośbę Armanda do fortepianu. Pan de Rigny wstał od stolika pobity na głowę. Proboszcz zaprosił na partnera Armanda, ciesząc się naprzód w duchu nieuwagą tak dla staruszka korzystną, którą sprawiała Armandowi Walentyna głosem prześlicznym, wyrobionym, rozbrzmiewającym szeroko po olbrzymim salonie.

Nie pierwszy to raz spotykał staruszka w zamku pan d'Arçay. Uderzała go ta piękna siwa głowa, ten humor jowialny, wielka wybaczliwość i prawdziwie chrześcijańskie usposobienie sędziwego proboszcza.

— Księże proboszczu — przemówił wśród gry. — Jak dawno jesteście w Bonnière?

— Lat dwadzieścia i pięć panie kochany! — ksiądz uśmiechnął się dobrodusznie — to coś znaczy!

— Macie dobrych parafian, nieprawdaż?

— Najpoczciwszych w świecie!

— Wielka to przyjemność, być pasterzem trzódki tak powolnej. Spotkałem temi dniami duchownego, syna jednego z naszych dzierżawców. Jest proboszczem w okolicy Paryża. Skarżył mi się na okropne stosunki w swojej parafji. Lud dziki, niesforny, co dzień niemal bójki kończące się na nożach. Przyznał mi się szczerze, iż bałby się wracać późno w nocy do domu.

— Oh! co do mnie — księżyna rzucił kości wesoło — trwoga podobna przez lat dwadzieścia pięć w umyśle moim nie powstała!

— Jestem pewny, iż przez cały czas, co ksiądz proboszcz w Bonnière spędziłeś, nie wydarzyła się ani jedna zbrodnia między tym ludkiem pobożnym... chyba mała kradzież lasowa... trochę drzewa, lub jaka sztuka zwierzyny...

Twarz uśmiechnięta staruszka, nagle spoważniała, przybierając wyraz dziwnie smutny i ponury, jakiego dotąd w rysach jego łagodnych nigdy nie spostrzegł.

— Mój młody panie, nie masz proboszcza tak szczęśliwego, któryby pędząc życie w parafji najlichszej, w kąciku najzaciszniejszym, nie był zmuszony wysłuchać nieraz na spowiedzi tajemnic strasznych, od których włosy jeżą się na głowie! Bywają zbrodnie nikomu nie znane, które spełniono w wioseczce najmniej głośnej, najcnotliwszej z pozoru i najspokojniejszej!

Proboszcz westchnął ciężko, przesunął ręką po czole, jakby chciał spędzić z niego wspomnienie natrętne a przykre i odtąd grał w milczeniu nie wymówiwszy więcej ani słowa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

XXVI.

Są domy w Paryżu zupełnie podobne do domów na prowincji. Niedaleko bulwarów, sądziłbyś, że jesteś w Orleanie lub w Quimper. Pierwsze piętro zamieszkałe jest przez jakiegoś urzędnika, drugie przez szefa biura, trzecie przez kupca dawnego; piętra wyższe zajęte są przez mniejszych lokatorów, którzy żyją tylko z pracy rąk.

O dziesiątej godzinie każdy jest już u siebie. Nigdy żadnych zabaw. Fortepian tu zakazany, kawalerom kobiet przyjmować nie wolno, młode małżeństwa także tu nie mieszkają, bo dzieci robią za wiele hałasu.

Stróż jest zuchwały, gasi światło o godzinie dziesiątej, a nie otwiera nikomu po północy.

Dom, w którym cyganka Dolorês mieszkała, należał właśnie do rzędu takich.

Zazdrośny hiszpan przepłacił złotem odźwiernego i umieścił ją jako swoją żonę. Dopiero jakoś po miesiącu dowiedziano się, że Dolorés nie była zamężną i pani stróżowa, kobieta surowych obyczajów, oburzyła się bardzo, dowiedziawszy się, że mają podobną lokatorkę. Ale Dolorés pomieszkanie miała zapłacone i kpiła sobie ze stróża, a Munito pewnego razu, gdy ten się postawił zuchwale, dał mu dobrą naukę.

Do nienawiści stróża dla cyganki, łączyło się jeszcze oburzenie lokatorów dla niej. I byłaby z tąd wynikła nie jedna scena i dokuczył by jej może nie raz, ale się bał Munita.

Jednakże chciał się pomścić koniecznie i w jakikolwiek bądź sposób wydalić ją z tak uczciwej kamienicy.

Przypadkowo odkrył stosunek miłośny Dolorés z młodym człowiekiem, który mieszkał obok.

Hiszpan był zazdrosny. Może też zabije cygankę, myślał sobie.

I myśl ta uśmiechnęła się mściwemu Agenorowi, bo takie nosił imię, a małżonka jego miała szumne imię Zolmy. Ale młody człowiek wyjechał, musiał więc czekać jego powrotu, aby wszystko opowiedzieć hiszpanowi.

W tym czasie zjawił się pan Pécantin.

Trudno się oprzeć dwudziestu pięciu luidorom, szczególnie gdy się jest stróżem. Agenor oddał się całkiem na usługi tak szlechetnej pani, jak nazywał Corinnę.

Od dziesiątej godziny wieczór światło było zgaszone, mała lampka świeciła się tylko w jego w pomieszkaniu. Za pierwszem pociągnięciem dzwonka przez pana Pécantin, stróż był już na nogach i jak widzieliśmy, w kilka minut później wprowadził Corinnnę i młodego lekarza do kamienicy.

— Proszę pani — szepnął z cicha — dla ostrożności pójdziemy drugiemi schodami.

I wziąwszy lampkę otworzył drzwi na korytarz i weszli na wschody kręcone, któremi zwykle schodziła służba.

Corinna poszła za nim, a dalej lekarz.

Stróż otworzył drzwi sąsiedniego pokoju.

— To tu — rzekł.

— A przechód tajemny?

— Tutaj pani.

I otworzył po cichu szafkę w murze, w której wisiały suknie. Potem rzekł zwracając się do Corinny:

— Dolorés jest jeszcze w domu i musicie się państwo zachować cicho, aby nie zdradzić się najmniejszym szmerem.

Corinna skinęła głową na znak, że będą uważać i zbliżyła się do szafki. Wtedy stróż zgasił lampkę, potem odsłonił firankę, która okrywała suknie. Światełko błysnęło w głębi szafki. Był to otwór zrobiony w drzwiach ukrytych w podwójnej ścianie bibljoteki. Agenor zajrzał przez otwór.

— Niema jej w pokoju — rzekł — ale jest on.

— Kto, hiszpan?

— Nie, ten drugi.

Corinna zajrzała przez otwór. I patrzyła zdziwiona na buduar o dziwnem obiciu, który był jak gdyby świątynią jakiejś religji tajemniczej. Dwie lampy paliły się na kominku, okryte lekką zasłoną i rzucały światło bladawe. Na środku rozścielony był dywan. Na tym dywanie, z nogami założonemi po turecku, z głową opartą o poduszki, z fajką w ustach, siedział pan de Villenave zatopiony w tych roskosznych marzeniach, które się zdają rzeczywistością. Corinna pociągła lekarza i szepnęła:

— Spojrz pan!

Młody doktor wpatrzył się uważnie w pana de Villenave i odrzekł z cicha:

— Za godzinę będzie zupełnie nieprzytomny i nie będzie się mógł bronić ani wołać.

— Czy sądzisz pan, że już źle z nim bardzo? — szepnęła jeszcze Corinna.

— Użyję środków gwałtownych i odzyska rozum.

— Ale kiedy?

— Za siedem lub osiem dni.

Corinna odetchnęła. Nagle, gdy wpatrywała się znowu w otwór, światło żywsze zabłysło. Drzwi się otwarły i Dolorés weszła z lampą w ręku. Miała płaszcz zarzucony na ramionach i widać było, że chce wychodzić. Murzynek szedł za nią. Patrzyła na pana de Villenave. P. de Villenave palił fajkę, ale jej nie widział. Szeptał nawet jakieś słowa niezrozumiałe, które dolatywały Corinnę. Z słów tych i uśmiechów widać było, że marzenia były roskoszne. Corinna słyszała, gdy Dolorés rzekła do murzyna:

— Możesz się położyć, on zaśnie.

Potem pogasiła lampy i wyszła, a za nią murzynek. I ciemność zapanowała zupełna.

— Idzie do swego hiszpana — szepnął stróż cicho.

W istocie w kilka minut potem stuk głuchy doleciał Corinnę. To Dolorés wychodziła i zamykała drzwi za sobą.

— Teraz proszę pani — odezwał się Agenor — możemy wejść.

— Nie jeszcze.

— Dla czego? — zapytał doktor zaciekawiony w najwyższym stopniu.

— Bo oczekuję sygnału.

Potem podeszła do okna i otworzyła je. Agenor miał przy sobie zapałki i zapalił lampkę. Corinna w oknie czekała.

Z kwadrans upłynął i jakiś człowiek ukazał się na rogu ulicy. Szedł prędko, a gdy już był pod

oknem, zakaszlał trzy razy.

Był to p. Pécantin.

— Teraz — rzekła Corinna — możemy działać.

Agenor odsunął rygiel, a przepierzenie, na którem kołki były przybite, obróciło się i ukazały się drzwi ukryte. Równocześnie pocisnął drugą sprężynę i bibljoteka otworzyła się z strony przeciwnej. Przejście było wolne. Corinna wzięła z rąk jego lampę i weszła pierwsza.

Dolorés odchodząc wykombinowała dokładnie: Villenave spał. Spał tak mocno, że z pewnością ani wystrzał armatni, ani dzwon głośny kościoła de Notre-Dame nie byłby go zbudził.

— Czy jesteś pan gotów? — zapytała Corinna zwracając się do lekarza.

— Jestem na usługi — odpowiedział.

I zbliżywszy się do pana de Villenave, wziął go na plecy. Ten ani drgnął.

Murzynek spał także obok w pokoju, ale nic nie słyszał.

— Otóż to — szepnęła Corinna — co się nazywa porwanie!

I weszła napowrót do pokoju sypialnego kochanka Dolorés. Agenor zamknął bibljotekę i drzwi ukryte w ścianie.

— Każcie zajechać memu furmanowi — rzekła Corinna.

— Gdy powróci, nic nie zastanie oprócz ognia na kominku — szepnął do siebie z uśmiechem Agenor.

W pół godziny później powóz Corinny zatrzymał się przed jej małym pałacykiem na bulwarach Malesherbes.

Tym razem doktor jechał na koźle obok woźnicy, a Corinna trzymała koło siebie ciało bezwładne pana de Villenave, którego dusza bujała w przestworzu.

Gdy go już zaniesiono do pokoju i położono do łóżka, Corinna obróciwszy się do młodego lekarza rzekła:

— Czy ręczysz mi pan, że go wyleczysz?

— Zaręczam.

— Od dziś za tydzień?

— Jestem pewny.

— W takim razie porzuć innych chorych i zostań tutaj.

— O! aniele mój! — szepnął zakochany młody człowiek, któremu się zdawało, że niebo się przed nim otwarło.

XXVII.

W jaki sposób młody lekarz leczył Leona de Villenave, nie będziemy się rozwodzić. Zdaje się jednak, że dla przeciwieństwa haszyszu i opium, które ciało ubezwładniają, a myślom dają marzenia roskoszne i szalone, dawał mu jakiś napój z maku, który usypia i odgania sny i marzenia.

Od tygodnia życie pana de Villenave było jednym ciągłym snem. Od czasu do czasu otwierano mu usta i zalewano buljonem.

Corinna zamknęła drzwi dla wszystkich. Ludzie jej mieli rozkaz powiedzieć każdemu kto się o nią pytał, że wyjechała na wieś.

— Ależ przyjacielu mój — rzekła do lekarza siódmego dnia wieczór — zdrowie jego nie powraca. Pierwej był warjatem, teraz podobny do bydlęcia.

Doktor Morel uśmiechnął się.

— Zaczekaj droga do jutra — odrzekł — a przekonasz się.

— Jutro obudzi się?

— Nie tak raptem. Ale myśl jego, którą ubezwładniłem umyślnie, zbudzi się.

— I cóż?

— Zacznie marzyć.

— Ależ u Dolorés marzył także ciągle.

— To co innego — mówił doktor dalej. — Gdy marzenia jego pochodziły z haszyszu, były niezrozumiałe, dziwne. Dusza jego przelatywała przestrzenie, bujała w światach nieznanych, karmiła się życiem fantastycznem, i upajała się miłością dziwną, niepodobną w rzeczywistości.

— A teraz?

— Trzeba było koniecznie — mówił doktor dalej — uśmierzyć tę burzę gwałtowną imaginacji wyszłej z granic zwykłych, trzeba było sprowadzić ten umysł chory i dotknięty w granice zwykłe rozsądku ludzkiego. Dla tego musiałem zwalczyć skutki haszyszu przez uspienie, które niszczyło powoli te sny i marzenia. I to właśnie robiłem. Skutki haszyszu i opium znikły zupełnie. Przestanę dawać mu ten napój, a dusza odzyska życie normalne.

— I będzie marzył? — zapytała Corinna.

— Tak, ale marzenie jego, jakiekolwiek będzie, odnosić będzie do życia rzeczywistego, a nie do tych zajść nigdy nie byłych, a które zdawały się żyć w jego wyobraźni, gdy trzymał w ustach fajkę nieszczęsną.

Corinna czekała cierpliwie do jutra. Wiemy, że cierpliwość była główną jej cnotą.

Nazajutrz, dodnia, gdy jeszcze spała, doktor kazał ją zawołać.

Przybiegła do pokoju, w którym leżał p. de Villenave.

— Marzy — rzekł lekarz.

Corinna zbliżyła się do łóżka.

W istocie, śpiąc ciągle, ustami na pół otwartemi szeptał jakieś słowa. W szepcie tym Corinna usłyszała imię pani de Planche-Mibray.

— Ciesz się — rzekła do lekarza — wspomnienie życia przeszłego powraca mu.

— Widzisz mój aniele!

— Czy będzie długo marzył?

— Godzinę lub dwie, może króciej.

— A potem?

— Potem obudzi się całkiem naturalnie, bez wstrząśnień, a umysł jego zastanawiać się będzie nad rzeczywistością i chwilą, w której zaczął palić opium.

— I nie będzie pamiętał o niczem, co się działo przez ten czas?

— O niczem zupełnie.

— Więc będzie myślał, że zasnął wczoraj.

— Tak, najzupełniej.

Corinna była kobietą roztropną.

— Potrzebowałam doktora, aby wyleczyć Leona — myślała sobie — ale aby wiedział o naszych interesach, to zupełnie niepotrzebne.

I wziąwszy młodego człowieka za rękę, rzekła z przymileniem:

— Jesteś zmęczonym, mój przyjacielu, potrzebujesz spokoju. Idź prześpij się trochę, każę cię zbudzić do śniadania.

Prośba Corinny była rozkazem dla zakochanego młodego człowieka.

Wyszedł mówiąc:

— Lepiej zresztą, że nasz chory, gdy się obudzi, obaczy tylko twarze znajome.

— Właśnie to myślałam — odrzekła Corinna.

I gdy lekarz odszedł, siadła koło łóżka Leona, nachyliwszy się nad nim, aby nie stracić żadnego słowa z jego marzeń.

P. de Villenave z cicha szeptał:

— ...I niech mi dowiodą, że przyczyniłem się do śmierci wuja... Zamordowano go... to prawda... ale nic nie odziedziczyłem... To Michał Balthazar strzelił... ja nie należę do tego... Gdybym odziedziczył jednak...

Uśmiech przeleciał po ustach jego. Corinna zbladła.

— Co za łotr! — szepnęła.

Natury najbardziej złe i przewrotne, mają czasem chwile szlachetne.

Corinna wstała oburzona.

Prawda występowała na jaw we śnie, jak występuje nieraz przy kieliszku. Śmierć barona de Planche-Mibray, nie była więc przypadkową, popełniono zbrodnię, a zapieranie się pana de Villenave dowodziło, że on był wspólnikiem tej zbrodni, przynajmniej moralnym.

I była chwila, w której Corinna czuła, że cała nienawiść i pogarda, jaką miała dla tego człowieka, którego kochała niegdyś, a który obszedł się z nią tak podle i nikczemnie, obudza się w niej gwałtownie, chwila, w której myślała nawet zawołać komisarza policji i opowiedzieć mu wszystko, co słyszała.

Ale myśl ta trwała zaledwie sekundę i uleciała szybko jak błyskawica.

— Muszę mieć 100.000 franków! — szepnęła.

Gdy się jest kobietą taką jak Corinna, nie wyrzuca się przez okno takiej sumy.

P. de Villenave jeszcze marzył czas jakiś. Imię ciotki lub wuja było mu ciągle na ustach. Potem mówił o Municie. Nie wspomniał tylko ani razu Dolorés.

Nagle otworzył oczy.

Z początku nie widział Corinny, która się trochę na bok usunęła. Ale poznał ten pokój, w którym mieszkał niegdyś. Meble, odbicia, obrazy, wszystko jeszcze było to samo.

— Cóż to! — zawołał — jestem u Corinny? Ależ do djabła jakim sposobem? Zdaje mi się, że byłem wczoraj w operze.

Corinna zbliżyła się.

— A! to ty? — szepnął.

— Bezwątpienia — odpowiedziała.

— I jestem u ciebie?

— Mój kochany — rzekła Corinna zimno — udało ci się dość szczęśliwie.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— O mało nie przepłaciłeś życiem tej spółki z cyganami.

P. de Villenave przypomniał sobie wszystko dokładnie.

— Ach! ten gałgan Munito! -- zawołał.

— I ta nędznica Dolorés... — ozwała się Corinna.

— A! prawda... zapomniałem o niej. Piękna kobieta.

— I która o mało nieumożebniła na zawsze małżeństwa z twoją ciotką.

— Doprawdy?

— Możesz mi wierzyć.

— Ale jak?

— Kiedy byłeś w Operze?

— Wczoraj.

— Mylisz się.

— Ba!

— Jest temu dwa tygodnie, a przez te dwa tygodnie byłeś nieprzytomny.

— Drwisz sobie ze mnie.

— Mój kochany — rzekła zimno Corinna — nie jesteś może jeszcze dość silnym, abym ci wszystko mogła opowiedzieć dzisiaj. Dowiedz się tylko rzecz jedną.

— Cóż takiego?

— Że cygan Munito ma te same marzenia co i ty.

— Co przez to rozumiesz?

— Kocha panią de Planche-Mibray.

— Corinno, co mówisz?

— Jutro opowiem ci więcej... gdy będziemy w drodze.

— A gdzie pojedziemy?

— Do Burgundji — odrzekła Corinna.

XXVIII.

Nazajutrz jadąc pospiesznym dyliżansem sami, — gdyż Corinna pozbyła się naiwnego doktora — rzekła ona do pana de Villenave:

— A więc to ty kazałeś zamordować barona, twego wuja?

P. de Villenave zerwał się z siedzenia, włosy mu się najeżyły, i spojrzał na Corinnę błędnemi oczyma.

— Mniejsza o to — odrzekła zimno — jakim sposobem to się dowiedziałam, ale słuchaj mię dobrze: teraz potrzebuję nie sto tysięcy franków ale trzy razy tyle, a ponieważ wszystko zawsze robię na serjo, możesz się spuścić na mnie, że będziesz mężem baronowej de Planche-Mibray. (C. d. n.)

Koniec części pierwszej.

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.